



Pościg Łowcy

Mariusz
Futyma

Mariusz Futyma

Pościg
Łowcy



2018

© Mariusz Futyma, 2018

Rysunki:
Adam Hałon

Korekta, skład i łamanie, druk:
Studio ANATTA
www.anatta.pl

ISBN 978-83-949972-1-2

Wydanie I

Nakład: 500 egz.

Wydawca:
Anatta sp. z o.o.

*Raz na dziesięć lat, wraz z końcem dekady łupem Wilka
pada jeden z władców Nortenardu.*

„Dzieje i mity Świata”
Autor nieznany

Zarys polityki Nortenardu

Mitria, zwana Stolicą Zachodu

Stolica Królestwa Mitrii, rozciągającego się na wschód aż do Przełęczy. Dzieli się na cztery dzielnice: Północną, Południową, Wschodnią oraz Zachodnią, i największym skupiskiem ludzi w całym Nortenardzie. Obecnie miastem, jak i całym królestwem rządzi **Mitrian Wielki**, ojciec dwóch synów. Starszy zaginął na morzu podczas podróży poślubnej; uznawany jest za zmarłego, gdyż słuch o nim zaginął przed dziesięciu laty. Młodszy, imiennik swojego ojca – **Mitrian**, mimo że przydomku jeszcze się nie dorobił, przewodniczy Radzie Mitrii. Wnukiem Mitriana Wielkiego, a synem Mitriana jest **Mitrin**, kilkunastoletni chłopak. Herbem Mitrii jest złoty gryf na purpurowym tle.

Czarnowron

Organizacja kupiecka z siedzibą w Czarnym Gmachu, mieszczącym się w Zachodniej dzielnicy Mitrii. Jej członkowie zwą samych siebie Czarnymi Rycerzami. Założycielem i wieloletnim przywódcą Czarnowronu jest **Blayał**, któremu dzięki owocnej współpracy z Mitrianem Wielkim udało się uzyskać przywilej wyłączności na handel zagraniczny. Od jakiegoś czasu stosunki na linii Czarnowron–Mitria zaczynają jednak ochładzać się, a na Czarnych Rycerzy padają podejrzenia o nielegalny handel bronią. Herbem Czarnowronu jest wrona w locie na ciemnym, szarym tle.

Harrogród

Wielokulturowe, kupieckie państwo-miasto położone na północy Przełęczy. Sojusznik Mitrii. Jego władcą jest **Vilgird**, wyznający zasadę, że o potędze miasta świadczy wielkość prowadzonego przezeń handlu. Harrogród od jakiegoś czasu jest w stanie wojny ze swoim południowym sąsiadem Frabardem. Herbem Harrogródu są żółędzie na tle czerwono-zielonej kraty.

Frabard

Kraj na południu Przełęczy. Przez wiele lat Frabard bogacił się na handlu morskim, a jego tętniący życiem i majątnością port znany był w całym Nortenardzie. Władcą Frabardu jest **Minster Parader**, mający zapędy imperialistyczne. Pod niepopartymi faktami pretekstem wypowiedział wojnę Harrogródowi z zamiarem opanowania całego szlaku handlowego na Przełęczy. Interesy Frabardu komplikują się jednak, gdy inni władcy, w obawie przed siłą Frabardu, zaprzestają kontaktów handlowych z Paraderem. Na wieżach Frabardu powiewają sztandary o czarno-złoty barwach.

Tarrencourt

Portowe miasto na południowym wschodzie Przełęczy. Znane głównie z produkcji wina oraz organizacji corocznego jarmarku na błoniach miasta. Herbem Tarrencourt jest złota kiść winogron na seledynowym tle.

Dormear

Miasto położone na „Wilczym Zębie” na południu Nortenardu, gdzie śnieg topnieje niezwykle rzadko. Władcą Dormear jest **Baltazar mal Tarell**, poprzedni król Mitrii i wielki rywal Mitriana Wielkiego. Po śmierci żony najbliższą mu osobą jest nadworny błazen, doradca i przyjaciel **Willow**. Baltazar jest ojcem czwórki dzieci. Jego najstarszy syn **Joachim** marzy o powrocie mal Tarellów na tron Mitrii i przy każdej sposobności namawia ojca do wyjścia z cienia. Herbem mal Tarellów jest odbicie lwiej łapy na jadesowym tle.



ROZDZIAŁ I

Problemy. Każdy ma własne

Gdzie on jest, do cholery?! – wrzasnął Gizdian, szarpiąc dziewczynę za włosy, po czym kolejny raz wepchnął jej głowę w spiononą wodę strumienia.

– Nie wiem! – wydusiła z siebie, gdy wyciągnął jej twarz na powietrze.

Zakrztusiła się i zaczęła kaszleć. Nie miała siły dalej bezskutecznie się wyszarpywać. Puścił ją w końcu i nie męczył więcej, lecz nie wierzył w jej nerwowe słowa mimo długich chwil tortur, jakie jej zapewnił. Odszedł kilka kroków, chlapiąc przed siebie wodą ze strumyka, i spojrzał na wystającą z piasku rękojeść miecza, który wytrącił z dłoni młodej wojowniczką Czarnowronu. Miał piękną głowicę w kształcie łba drapieżnego ptaka, a jelec w kształcie orlich szponów delikatnie wygięty w stronę ostrza.

Podniósł wzrok i odgarnął włosy z czoła. Ostatni raz z pogardą spojrzał na wycieńczoną przeciwniczkę, żałując, że niczego się nie dowiedział. Jednak nie dobił jej. Nie dlatego, że była kobietą. To nie miało znaczenia dla kogoś takiego jak on. Był samolubnym człowiekiem, zależało mu tylko na pieniądzach, za które mógł napaść brzuch jadem i trunkiem. A tych brakowało mu od dłuższego czasu.

Dziewczyna, wciąż pozostając na klęczkach w wodzie, dochodziła do siebie, pokaszując i dysząc ciężko. Jej ciemne, mokre włosy przypominały kolorem jej podarty podczas walki płaszcz. Nie sposób było znaleźć ciemniejszej czerni pośród palety barw i odcieni. Tym właśnie szczycił się Czarnowron. Ich czerń zawsze pozostawała niezwykle czarna.

Słońce przypiekało mocno jak na pierwszy dzień jesieni i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miało zrobić się chłodniej. Zielone jeszcze doliny Mitrii kąpały się w słonecznym blasku, ukazując wszystkie swoje wdzięki.

Gizdian schował swój miecz i ruszył przed siebie, znacząc piaszczystą drogę mokrymi śladami. Jego niezwykle spokojny jak na moment po walce na śmierć i życie umysł pogrążył się w myślach. Był znany ze swojej obojętności i kamiennego serca, choć prawdę mówiąc mało kto w ogóle go znał, co w przypadku jego profesji stanowiło kolejną zaletę.

Szukał człowieka imieniem Ardamir, jednego z mitriańskich najemników, ludzi od czarnej roboty, którą nie chcieli babrać się wielcy panowie czy bogaci szlachcice. Minęło sporo czasu, odkąd Gizdian widział go po raz ostatni. W końcu na własną rękę postanowił dowiedzieć się, co przytrafiło się koledze po fachu.

– Nie dokończyłeś łowów, najemniku. – Gizdiana nagle wytrącił z myśli ledwo słyszalny, jednak dosadny głos.

Spojrzał w górę. Na szczycie wysokiego głazu siedział młodo wyglądający mężczyzna. Na jego obliczu gościł, odsłaniający lekko za duży kiel, uśmiezek. Uśmiezek. Bo nie mógł być nazwany uśmiechem ten cwaniacki wyraz twarzy. Głowę mężczyzny owijała czerwona chusta, spod której wystawały dwa cienkie, czarne warkocze. Zbójcekiego wyglądu dodawał mu złoty kolczyk w uchu i delikatny szpiczasty wąsik oraz niewielka bródka, którą głąskał palcem wskazującym. A był to jeden z niewielu palców bez pierścienia lub sygnetu.

– Mylisz się, piracie – odpowiedział Gizdian. – Piracie? Złodzieju, szpiegu, złoczyńco. Sam nie wiem, jak mam cię nazwać, paldalcu – dokończył z dźwięczną pogardą.

– Każda obelga, która przysłaby ci do łba, zapewne nie byłaby chybiona – odrzekł dumnie Draxar, najdrożej wyceniający swe usługi łotr w Nortenardzie.

Gizdian uśmiechnął się sztucznie. Nie miał ochoty na rozmowę, a już na pewno nie z kimś takim jak Draxar. Poprawił miecz zawieszony na pasie i bez słowa ruszył przed siebie.

– Gizdian?

Najemnik odwrócił się. Dobrze wiedział, że tego pirata ciężko się pozbyć, póki sam się nie znudzi swoim gadaniem.

– Zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiłeś? Pozwoliłeś zbiec wojownicze Czarnowronu. – Gizdian spojrzał w stronę strumienia. Kobiety faktycznie już tam nie było. – Czy jesteś aż tak głupi, czy naprawdę myślisz, że ona „od tak” – pstryknął palcami – o tym zapomni?

Mitriańczyk nie odzywał się, unikał jego spojrzenia. Wciąż miał nadzieję, że szpieg zaniecha rozmowy i po prostu odejdzie. Żłudną nadzieję.

– Kiedyś postąpiłbyś inaczej – mruknął jakby do siebie Draxar.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – Gizdian zagotował się.

– Mam dobrą pamięć, najemniku. Wyobraź sobie, że pamiętam czasy, gdy wraz z Ardamirem oczyszczaliście to miasto z większych szubrawców od was.

– Jedynie ty się wymknąłeś, co?

– Moja głowa nie została przez nikogo wyceniona – odparł Draxar, harmonijnie uginając palce prawej dłoni. – Wiedziałbym o tym.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia, piracie? Spiesz mi się.

– Ardamir otrzymał świetnie płatne zadanie. Miał dostać się do siedziby Czarnowronu, zaskarbić sobie łaski ich przywódcy i zebrać informacje o rzekomo nielegalnym handlu bronią z Frabardem. Mam rację?

Gizdian nie odpowiedział. Stał jakby nieobecny, z trudem próbując odkopać w umyśle wspomnienia ostatnich tygodni.

– Problemy z pamięcią? – mruknął Draxar, pozwalając by

najemnik dosłyszał delikatny chichot. – Od jak dawna? Kiedy ostatnio widziałeś Ardamira, najemniku?

– Nie pamiętam – odrzekł zupełnie poważnie Gizdian.

– Nie pamiętasz – powtórzył szpieg, robiąc widoczną pauzę. – A jednak los pchnął cię na pojedynek z wojowniczką Czarnowronu. A może to nie los? Może to majaki niedawnej przeszłości?

Gizdian nie odpowiadał. Draxar denerwował go coraz bardziej. Tym bardziej, że wiedział więcej niż on sam. Jednak wrodzona duma i ciężki charakter nie pozwalały mu zbłaźnić się zadawaniem dręczących go pytań.

– Wiele ryzykujesz, najemniku – wznowił pirat, po czym niemal bezdźwięcznie zeskoczył z wielkiego głazu. – Obwiniasz Czarnowron, choć tak naprawdę nie masz pewności. Natomiast szanse na odnalezienie tamtego człowieka masz naprawdę nikłe. Prawdę mówiąc, sądzę, że on już jest trupem.

Mówił wolno, nieładnie przeciągając niektóre sylaby. Uwielbiał mieć rację i był pewny, że i tym razem ją ma. Nie wierzył, że ktoś w pojedynek jest w stanie przeciwstawić się Czarnowronowi, organizacji, której Rada Mitrii nie potrafiła ruszyć od lat.

– Dlaczego go szukasz? – Łotrzyk nagle zmienił ton głosu z podkpiwającego w bardzo poważny. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zależy ci na życiu tego człowieka?

Gizdian nie odpowiedział. Przymrużył lekko oczy i obdarzył Draxara niemiłym spojrzeniem. Długo nie spuszczał wzroku, chciał by pirat uczynił to, jako pierwszy.

– Żegnaj, najemniku – rzekł nagle Draxar i całkowicie odpuścił kwestię drażenia tematu, bynajmniej nie z powodu niemożliwości podłożenia dłuższej walce wzrokowej. Obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, delikatnie stąpając po gorącym od grzejącego słońca piachu.

Gadka w końcu cię znużyła, piracie. Coś szybko tym razem, stwierdził w myślach Gizdian i odszedł w zupełnie inną stronę, ku murom Mitrii.



– Witam wszystkich zgromadzonych na kolejnym zebraniu Rady. – Po komnacie, w której co wtorek gromadziła się Rada Mitrii, rozległ się donośny głos Mitriana, syna króla Mitriana Wielkiego. – Mam nadzieję, że w ciągu ostatniego tygodnia nikt nie próżnował, nie stracił zapału do pracy i co najważniejsze – książę zrobił krótką przerwę – chciał znaleźć choć chwilę na przemyślenie ostatnio poruszanej kwestii.

Salę wypełniała cisza, poza Mitrianem nie odzywał się zupełnie nikt. Cieszyło to następcę tronu. Od najmłodszych lat ojciec uczył go, że to nie on ma słuchać. Słuchać należało jego.

– Nie traćmy więc czasu – wznowił. – Jak powszechnie wszystkim wiadomo, lecz nie każdy chce w to uwierzyć, lub przynajmniej udaje, że nie wierzy, organizacja Czarnowron szmugluje broń do Frabardu. Tak. Nie patrzcie na mnie z tak idiotycznym wyrazem twarzy, panowie. Każdy z was zna Blayala i wie, jaką ma reputację w mieście.

– Wybacz, panie – odezwał się w końcu jeden z radnych – lecz nie mamy na to żadnych dowodów. Poza tym... reputacja, o której mówisz... Ludzie ufają Blayalowi i Czarnowronowi. Dzięki niemu mieszkańców stać na wschodnie towary...

– Faktycznie. Nie mamy, Virnorze. – Książę zignorował dalszą część wypowiedzi radnego. – Zechciej mi jednak wytłumaczyć, co mogło stać się z Ardamirem? Jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym najemnikiem, z jakim mieliśmy do czynienia. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że dał się zabić jakiemuś niestworzonemu potworowi, za którego łeb płacono w tysiącach galmonów? Nie... Blayal musiał dowiedzieć się, że najemnik został nasłany przez nas. Jak? Oto jest pytanie, które wam dziś zadaje, zgromadzeni.

Zapadła cisza. Radni dobrze wiedzieli, że Mitrian ma rację, lecz nikt nawet nie próbował rozważyć w myślach ewentualnej odpowiedzi na zadane pytanie. Każdy natomiast wiedział, że ktoś taki jak Ardamir nie daje się łatwo zdemaskować. Ponadto nikt

nie miał cienia wątpliwości, że Czarnowron handluje z wrogiem. Czarni Rycerze słynęli bowiem z tego, że prawo państwowe było dla nich podrzędne zwyczajom organizacji, którą zarządzał niejaki Blayal, a polityka i wojny prowadzone przez Mitrię zupełnie ich nie obchodziły.

– Skończyły się dobre dni – wznowił Mitrian po dłuższej chwili ciszy zakłócanej jedynie przez kaszel i nierówny oddech nadwornego skryby. – Zaczęły się dni gówniane. – Po tym wyśmienitym żarcie nikt ze zgromadzonych nawet się nie uśmiechnął. – Frabard najeżdża Harrogród, naszego najwierniejszego sojusznika, a świat tylko się temu przygląda. Co gorsza, organizacja, z którą mamy do czynienia, miast powstrzymać, wciąż napędza tę wojnę.

Po raz kolejny zapadło milczenie. Mitrian obserwował twarze zgromadzonych, nawijając na palec jeden z kosmyków swych włosów. Zastanawiał się, czy jego współpracownicy naprawdę są tak bezużyteczni i ślepi, czy boją się podjąć jakiegokolwiek kroki, a może Blayal zwyczajnie ich przekupił? Niemożliwy bowiem wydawał mu się fakt, że przez tyle czasu Rada nie przegłosowała nakazu rewizji Czarnego Gmachu. Ba, nie była nawet bliska osiągnięcia porozumienia. Mitrian był zmuszony działać nieoficjalnie.

Księżę wstał. Powolnym krokiem zaczął przemierzać marmurową posadzkę, nie spuszczać wzroku z twarzy znudzonych radnych. Gdy zaczął trzecie okrążenie wokół posągu gryfa stojącego pośrodku komnaty, postanowił wznowić przemowę.

– Połowa zła na tym świecie spowodowana jest tym, że ktoś chce być ważny. Druga połowa tym, że ktoś inny bogaty. Jeszcze chwila i zdamy sobie sprawę, że na tym świecie dobra w ogóle nie ma. – Nie wiedział, czy brzmi to wystarczająco dobrze. Chciał zabłysnąć intelektem i elokwencją. – Frabard chce podbić Harrogród i opanować całą Przełęcz, a Czarnowron z tego korzysta, sprzedając świetny oręż, którego produkcją zajmuje się... no właśnie. Kto? Skąd ci łajdacy mają to wszystko? Być może czegoś nie wiemy? Ba! Z pewnością czegoś nie wiemy! Być może

w podziemiach Czarnego Gmachu stoją nie tylko beczki z winem czy skrzynie ze zbożem. Być może Blayal trzyma tam dziesiątki niewolników dzień i noc harujących przy kowadle! Kto rzeźbi te ich miecze ze szponami? Elfy? Krasnoludy? Nie bądźmy głupcami, panowie. Nikt nie widział elfa w tych okolicach od lat, a krasnoludy żyją setki kilometrów stąd. To magia i kunszt Czarnowronu. Pod przykrywką dobrobytu, który dają mieszkańcom, bogacą się na handlu bronią.

– Twe słowa brzmią nadzwyczaj mądrze, panie – wtrącił Virnor. Najwyraźniej był jedyną osobą skorą do prowadzenia dyskusji. – Niewątpliwie... możesz... mieć rację. Zakładam, że chcesz teraz powiedzieć „musimy to powstrzymać”. Jednak co możemy zrobić, sir? Wysłaliśmy do nich naszego najlepszego agenta, hańbiąc się przy tym, a i on nie pomógł. Rada nie powinna korzystać z usług najemników, płatnych morderców i łowców nagród. Od początku to odradzałem. I tak nie mamy dobrej opinii w mieście w przeciwieństwie do Czarnowronu. Wierz mi, sir, jeśli dojdzie do otwartej konfrontacji między Mitrią a Czarnowronem, nie jestem pewien, czy lud nas poprze.

– Niewykluczone, że masz rację, Virnorze. Dlatego by nie wyglądało to na naszą robotę, wybrałem właśnie jego. Mam jednak jeszcze jeden pomysł. Myślę, że lepszy od poprzedniego. Taki, który pomoże nam uporać się z problemem Czarnowronu. – W komnacie po raz pierwszy tego dnia dał się słyszeć cichy szmer radnych. – Przedstawię go wam już na następnym zebraniu Rady, czcigodni – zakończył Mitrian, rzucając po zgromadzonych zagadkowym spojrzeniem.



Siedział właśnie w Słomianym Rolandzie, obskurnej oberży, w której łatwiej było spotkać szczura niż klienta. Szczura nie zobaczył jednak żadnego, za to ludzi popijających jasne, do przesady rozwodnione i okropnie śmierdzące chmielem piwo było dwóch.

Trzech, jeśli liczyć także jego samego. Szlag go trafiał, że nie miał pieniędzy, by napić się w porządniejszym lokalu.

Nie zamienił nawet słowa z Rolandem, grubasnym karczmarzem, któremu gdy nadarzyła się okazja otworzyć do kogoś gębę, rozmowę mógł ciągnąć bez końca. A plótł wszystko, co ślina mu na język przyniosła. Jednak dzisiaj szynkarz nawet nie próbował zacząć konwersacji. Od przybysza biła aura wściekłości i niechęci do czegokolwiek. Usłuchał więc prośby o kufel piwa i zajął się szorowaniem blatu.

Spoglądał na dogasający kominek i siedzącego przy nim zapijanego brodacza, któremu od czasu do czasu zdarzało się odbić cuchnącym trunkiem. Uważnie, lecz dyskretnie rozejrzał się wokół. Zupełnie jakby spodziewał się niechcianego towarzystwa.

Z drugiej strony karczmy, w najdalszym od lady kącie siedział młody mężczyzna. W ustach trzymał drewnianą fajkę, w której ledwo kopcił się słaby tytoń. Jak stwierdził po unoszącym się po pomieszczeniu zapachu, zioło pochodziło z okolic Nekragardu, miasta leżącego wiele kilometrów na wschód od Mitrii. Nigdy tam nie był, lecz tytoń stanowił temat, w którym mało kto mógł go zagiąć. Gdyby znajdował się w lepszym nastroju, na pewno podszedłby i z chęcią zapalił rzadką w zachodnich stronach używkę, nawet jeśli nie zostałby nią poczęstowany. Dopił jednak ostatni łyk wstrętnego piwa i odstawił do połowy pełny kufel. Utopił w nim dwie miedziane monety, po czym wstał i powolnym krokiem ruszył w kierunku wyjścia.

– Momencik – usłyszał nieco gniewny głos Rolanda. – Za mało pieniędzy zostawiłeś, koleżko!

„Koleżka” zatrzymał się i powoli odwrócił głowę w kierunku lady, skąd dobiegł wzbudzony, zachrypnięty głos. Zapadła zupełna cisza, którą przerwało czknięcie pijanego brodacza, siedzącego przy kominku.

– Być może twój wyjątkowy trunek podzielał na mnie nazbyt skutecznie, karczmarzu – rzekł w końcu chłodnym głosem, patrząc grubasowi prosto w oczy – lecz wydaje mi się, że wypilem zaledwie pół piwa.

Roland chciał coś rzec, lecz odchrząknął tylko, a żadne słowo nie wydostało się spomiędzy jego popsutych zębów. Wolał nie rozwścieczać przybysza, który już na wejściu wyglądał, jakby przegrał życie w Domu Gier Olivera, gdzie faktycznie można było zastawić nawet własny żywot.

Przybysz w końcu odwrócił się, demonstracyjnie poprawił piękny miecz zawieszony na plecach, narzucił na głowę szpiczasty kaptur czarnego płaszcza i wyszedł, trzaskając nieco skrzypiącymi drzwiami.



Gizdian stanął na brukowanej drodze prowadzącej do bramy miasta i wlepił wzrok w spróchniałą tabliczkę.

– Mitria – mruknął po cichu z pamięci, bowiem nie potrafił czytać. Zawsze wymawiał te słowa z pogardą. Z pogardą dla człowieka niemającego tyle fantazji, by wymyślić dwie oddzielne nazwy dla państwa i miasta, w których mieszkał od urodzenia.

Oderwał wzrok od starego znaku, po czym z przyzwyczajenia odgarnął włosy z czoła, a te po chwili znów opadły na oczy, przysłaniając znaczną część widzianego przez nie świata.

Poczłapał nierównym krokiem w kierunku wschodniej bramy miasta z jedną myślą: jak najszybciej położyć się do swego śmierdzącego gorzała i kozim serem łóżka! Był zmęczony i zły. Przeszedł pod opuszczonymi do połowy stalowymi kratami. Ani myślał spojrzeć w stronę krzyczącego za nim strażnika, który dzień w dzień kazał mu się spowiadać, z jakiego powodu zakłóca jego spokojną służbę i pragnie dostać się do miasta.

Nawet późnym wieczorem mitriańskie ulice były pełne ludzi. Denerwowało to Gizdiana. Nie mógł zdzierżyć, iż wciąż musi odganiać od siebie wścibskich kupców, powstrzymując się od dania któremuś w zęby.

– Ryby! Świeże ryby, prosto z sieci Mistrza Rybichrusta! – krzyczał śmierdzący owocami morza sprzedawca, macając ryby

wyłożone na drewnianym straganie. – O! Może pan się skusi? Naprawdę świeże, pyszne rybki! – zaryczał Gizdianowi prosto w ucho. – Tak, tak, do ciebie mówię, drogi kliencie! – Machnął mu rybą przed oczyma.

Handlarz zamilkł, gdy najemnik zatrzymał się.

– Jakbym chciał twoją pieprzoną rybkę, to bym się o nią upomniał, a nie czekał, aż wetkniesz mi ją w łapy! – rzekł gniewnie i stanowczo.

Kupiec pogardliwie spojrział na wulgarnego najemnika, zrobił obrażoną minę i wrócił za swój stragan, skąd dalej ciągnął gadkę w stronę innych przechodniów.

To był zły dzień. Zły dzień dla najemnika, któremu coś ciążyło na sumieniu. Najemnika, któremu nie powiodła się próba zdobycia informacji. Najemnika, któremu stanowczo brakowało pieniędzy. Wszystko go dziś denerwowało. Wyżył się na głupim rybaku, któremu sprzedaż tej jednej małej rybki pozwoliłaby na wyżycie przez najbliższe dwa dni na czymś innym niż rybie, jak co dzień. *Nawet gdybym miał pieniądze, to bym nie kupił*, stwierdził w myślach Gizdian. *Bo po co mi ryba? Ni to smaczne, ni pożywne... Zjadłbym dzika. Tłustego, chrupiącego, z wepchniętym w ryj jabłkiem, dzika!* Na jego twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech, jednak szybko znikł. *Nie stać mnie nawet na gównianą rybkę...* Tą smutną myślą zakończył rozważania nad swoim stanem finansowym i wówczas zorientował się, że dawno już minął uliczkę, w którą miał skręcić. Zaklął z cicha, po czym odwrócił się na pięcie z chęcią ruszenia we właściwą stronę.

– Złą porę wybrał sobie samotny obdarciuch na spacer po mieście. I to tych ciemniejszych uliczkach... – zatrzymał go zakapturzony człowiek, zastawiając mu drogę.

– Złą porę wybrał sobie głupiec na zaczepianie wkurwionego najemnika spacerującego po mieście – odrzekł chłodno Gizdian. – I to po tych ciemnych uliczkach – zakończył, torując sobie przejście barkiem.

Za plecami usłyszał zachrypnięty śmiech, lecz zignorował go,

nie zwalniając kroku. Wtem stanęły przed nim dwie kolejne postacie w kapturach. Zatrzymał się, a prawy kącik ust wygiął mu się w paskudnym uśmiechu.

– Miałem nadzieję, że choć dziś nikogo nie zabiję – szepnęła na tyle głośno, by go usłyszano.

Błyskawicznie wyciągnął miecz i lekko ugiął nogi. Lewą rękę wyprostował wzdłuż uda dla lepszego utrzymania równowagi. Napastnicy uczynili podobnie, a on dopiero teraz zorientował się, z kim ma do czynienia. Rozpoznał orle szpony na jelcach mieczy.

– Szybcy jesteście – rzekł Gizdian z udawanym podziwem.

– Równie szybko zginiesz – rzekł ten zza jego pleców, który śmiał się chwilę wcześniej. – Naraziłeś się Czarnowronowi, a to nie oznacza nic dobrego – dokończył z groźbą w głosie, przymrużając oczy.

– Przestań pieprzyć. Może daruję ci życie, gdy powiesz, co zrobiliście z Ardamirem.

W uliczce znów rozległ się szyderczy śmiech Czarnego Rycerza.

– Zatańczysz tak, jak ci zagram... – Chichot momentalnie ucichł i przerodził się w głos śmiertelnie poważny.

– Zatem – Gizdian przymrużył oczy – niech gra muzyka!

Podbiegł do stojących przed sobą wojowników Czarnowronu i ciął od dołu. Nieskutecznie, przeciwnik zablokował cios. Szybkim ruchem ciął kolejne dwa razy, w międzyczasie parując nadchodzące uderzenie. Uliczka wypełniła się głośnym szczękiem stali. Za trzecim razem trafił. Idealnie pod kolano, przecinając ścięgno i rzucając przeciwnika z nóg. Na posadzkę buchnęła krew; w powietrzu zawisł przeraźliwy krzyk cierpiącego. Kopnięcie w twarz. Ból wraz z krzykiem ugrzązł gdzieś w gardle. Czarny Rycerz padł na ziemię, zwiając się z bólu. Gizdian czuł już na plecach oddech tego, który obiecał mu śmierć. Zablokował, ciął niecelnie, znów zablokował. Walczył na dwa fronty, skutecznie wywijając się spod ciosów niezdarnych przeciwników. Już wtedy był pewien, że wygra.

Zaatakował w odpowiednim momencie, umyślnie z całej siły uderzając w płasz orlego miecza. Wojownik Czarnowronu nadział

się na własne ostrze, rozcinając nos. Cofnął się i łapiąc za twarz, oparł się o ścianę. Gizdian pozostał sam na sam z ostatnim przeciwnikiem. Czarny Rycerz zawahał się na moment, gdy popatrzył na rozwścieczone jak u wygłodniałego tygrysa oczy najemnika. Wreszcie krzyknął wściekle i rzucił się na Gizdiana. Ten sparował cios, robiąc delikatny odskok, i równie subtelnie naciął udo napastnika, niemal zrzucając go z nóg. Miecz Gizdiana zakręcił młynek i pchnięty pewnym ciosem rozplątał ciało nieszczęśnika od obojczyka aż po biodro. Umazany krwią najemnik bezzwłocznie podbiegł do wojownika z rozciętą twarzą. Wytrącił mu z ręki broń i pchnął do ściany, przykładając ostrze do gardła.

– Teraz gadaj, skurwysynie! – warknął do bezbronnego, który kilka minut wcześniej mógł wydawać się tak groźny. – Gdzie on jest? Gdzie jest Ardamiir, kurwa mać?!

– Nie wiem... kim je...

Gizdian przerwał ten bełkot pchnięciem miecza.

Czarny Rycerz osunął się na ziemię i pozostawił na ścianie ciemny, krwawy ślad. Gizdian odwrócił się za siebie i powoli podszedł do stękającego z bólu wojownika ze zmasakrowanym kolaniem. Spojrzał nań z pogardą i przyklęknął, by z bliska spojrzeć mu w oczy. Prawie całą twarz najemnika zasłaniały zwichrzone podczas walki włosy.

– Głupcze... – wydusił z siebie mężczyzna w czarnym płaszczu – przyjdą następni. – Kaszłał po każdym zdaniu, które próbował wymówić. – Nie dadzą ci chwili... Chwili spokoju. Znajdą cię... – wziął głęboki oddech, a jego źrenice pomniejszyły się nie naturalnie – i zabiją.

Ciemnowłosy najemnik wbił ostrze w mostek Czarnego Rycerza. Na chodniku utworzyła się nieestetyczna plama z czerwonej posoki.

– Nawet ci do twarzy... z trupem – szepnęła chłodno, po czym wytarł miecz w czarny płaszcz i zniknął za rogiem ciemnej, mirtiańskiej uliczki, zostawiając ciała rycerzy Czarnowronu własnemu losowi.



Kobieta weszła do sali, z hukiem rozwierając skrzydła ogromnych wrót. Nerwowym krokiem ruszyła przez środek marmurowej posadzki. Ciszę, która zapadła, przerywał tylko dźwięk stukających obcasów. W końcu przysiadła na miękkim, obitym futrem krzesła i oparła łokcie o blat okrągłego stołu, chcąc zachować pozory spokoju. Nikt nie miał jednak wątpliwości, że wewnątrz jest rozgorączkowana i roztrzęsiona. Niejeden z obecnych wstrzymał oddech, nie mając odwagi, by się odezwać, lecz zakapturzony mężczyzna, siedzący idealnie naprzeciw wejścia, ze spokojem przyglądał się dziewczynie. Jej twarz była sina, ręce się trzęsły, a na ciele wciąż widoczne były rany odniesione podczas ostatniej walki.

– Mów – przerwał milczenie mężczyzna, zdejmując kaptur. Jego twarz szpeciła wielka blizna, ciągnąca się znad lewego oka przez niemal cały policzek.

– Nie wrócili – wydusiła z siebie zachrypniętym głosem. – I już nie wrócą.

– Skąd ta pewność, Yavajia?

– To nie byle cham machający mieczem jak cepem podczas żniw. Widać trzech to zbyt mało, by mierzyć się z wojownikiem jego pokroju.

– Posłaliśmy tam trzech świętych ludzi, skarbie. Nie wierzę, żeby ktokolwiek w pojedynkę zdołał im dorównać – oburzył się mężczyzna, którego czoło nagle zmarszczyło się, a w oczach błysnęła jaskrawy odblask srebrnego sygnetu, noszonego przezeń na palcu serdecznym lewej ręki.

– A jednak – rzekła, a barwa jej głosu oraz wyraz twarzy przybrały wyrazu tak przerażającego, że niejedno dziecko ukryłoby twarz w dłoniach, nawilżając je słonymi łzami.

– Zostawcie nas samych – rzucił człowiek z blizną.

Natychmiast rozległ się kłujący uszy dźwięk odsuwanych krzesła. Wszyscy obecni, przysłuchujący się niespokojnej rozmowie,

wstali od okrągłego stołu i wciąż nie zaznaczając swej obecności choćby najmniejszym piśnięciem, opuścili komnatę. Gdy zdobione złotem i klejnotami wrota zamknęły się, Yavajia długo jeszcze musiała czekać, aż jej przełożony na powrót podejmie rozmowę.

– Kim jest ów człowiek, że czujesz przed nim tak ogromny respekt? I dlaczego wysyłasz w pogoń za nim naszych ludzi bez uzgodnienia tego ze mną?

– Nie wyjawiał imienia – odpowiedziała po krótkiej chwili zastanowienia. – Mówił jednak coś o jakimś... – po raz kolejny zagłębiła się we własnych myślach – Ardamirze.

– A któż to jest, do cholery? – zapytał spokojnie, a przekleństwo dorzucił raczej z nawyku niż z powodu jakichkolwiek emocji towarzyszących temu pytaniu.

– Też chciałabym wiedzieć – stwierdziła, po czym kolejny raz zagłębiła się w myślach. – Wtedy, podczas walki, chciał wyciągnąć ode mnie, gdzie jest ów Ardamir. Wątpię, by uwierzył, że nie mam o tym bladego pojęcia.

– Mimo to darował ci życie. W jakim celu, Yavajia?

– Kolejne dobre pytanie... Teraz ciężko będzie nam go dopaść. Ci idioci dali się zabić, tym samym zgubiliśmy trop...

– Wątpię, by to było jakimkolwiek problemem. Sam do nas przyjdzie, jeśli naprawdę chce znaleźć tego człowieka. A widać, że jest nie lada zdesperowany.

Yavajia uznała to za koniec rozmowy z Blayalem, przywódcą Czarnowronu. Szybko ruszyła w stronę wyjścia. Jego głos zatrzymał ją jednak.

– Powiedz mi, skarbie, dlaczego nie dopilnowałaś transportu, a w Mitrii pojawiaasz się niemal trzy tygodnie po jego zaginięciu? I to nie od razu u mnie, a na wybrzeżu, gdzie walczysz z jakimś zbirem?

– Powiedz mi lepiej, kiedy zaczęłaś wytwarzać takie błyskotki? – rzuciła mu srebrny pierścień z wygrawerowanym herbem Czarnowronu.

– Skąd to masz? – zapytał zdziwiony po dokładnym obejrzeniu sygnetu.

– Od jakiegoś dzieciaka. Twierdził, że go przysłałeś, i wręczył mi ten pierścień jako dowód. Poszłam za nim na statek. Nie, nie nasz, inny statek. Ponad dwa tygodnie więzili mnie na cuchnącej łajbie, pływając między wyspami, aż wyrzucili mnie na brzegu Mitrii, gdzie stał ten... jak go nazwałeś, zbir.

– Nigdy nie widziałem takiego pierścienia. Choć przyznam, jest dość... niczego sobie. – Włożył go na środkowy palec lewej ręki. – Jeśli znowu dostaniesz coś podobnego, wiedz, że nie ja to przysyłam. Ktoś ewidentnie próbował się pode mnie podszyć. Domyślasz się, kto to mógł być?

– Nie – odpowiedziała sucho.

Blayał potarł podbródek i spojrzał jej w oczy.

– Parader oczekuje od nas ponownego transportu. Nie dziwię mu się, mam jednak nadzieję, że tym razem skończy się to inaczej. Ten, kto dał ci pierścień, musiał wiedzieć o zasadzce. – Nowa biżuteria widocznie mu się spodobała, gdyż spoglądał na nią nieustannie z zachwytem. – A i twój oprawca musi być w to zamieszany.

– Wiadomo, co dokładnie się stało?

– Rybacy mówią, że fale wypłuły na brzeg kawałki statku. Nie sądzę jednak, by Frabardczycy byli takimi idiotami, by wysadzić się w powietrze. Ktoś musiał donieść o wszystkim Mitriańczykom, a oni przejęli statek.

– Z pewnością – skwitowała bez emocji, drapiąc się za uchem.



Był to łaskawy poranek dla kupców, którzy od wczesnych godzin przedpołudniowych, bez chwili wytchnienia obsługiwali klientów mitriańskiego targu. Słońce bowiem rzadko wynurzało się zza kłębiastych chmur, rzucających cień na Stolicę Zachodu.

Panował gwar jak w każdy poniedziałek, a przejście z jednego końca targowego placu na drugi nawet najszybszym spośród elfich zwiadowców zajęłoby kilka minut. Ciemnowłosa najemnik

obserwował całe to zamieszanie, opierając łokcie o balkonową poręcz królewskiego pałacu. Nienawidził jarmarku. Jeśli był zmuszony coś nabyć, najczęściej posyłał tam dzieci, a w zamian za nabyte dla niego dobra rzucał im kawałek kwaśnego, koziego sera, którym sam gardził z całego serca. A głupie brzdące, chwając się rówieśnikom, zjadały niesmaczną zdobycz, nigdy nie okazując grymasu na twarzy.

Broń i ekwipunek kupował jednak sam. Tylko dlatego odwiedzał to gwarne, niespokojne miejsce. Lecz to nie był dzień, w którym potrzebowałyby się tam wybrać. Dziś ze znudzeniem obserwował pokracznych kupców usiłujących wcisnąć przechodniom swoje towary, a jego umysł zajmowały myśli o zemście. Zemście na Czarnych Rycerzach. Był pewien, że to z ich winy Ardamiir zaginął.

Ziewnął i wlepił wzrok w grubego, miedzianobrodego krasnoluda sprzedającego topory, mizerykordie i innego fasonu rozpruwacze ludzkiego ciała. Przy tym stoisku zawsze tłoczyło się wielu gapiów: od garbatych żebraków, przez wścibskie gnomy, po mężczyzn, mitriańskich żołnierzy. I teraz nie było inaczej. Nie z powodu dziwnego wyglądu kramarza, niższego od każdego mężczyzny w mieście, ale o włosach dłuższych niż każda kobieta. Choć u niego włosy pokrywały każdą część twarzy poza ustami, nosem i czołem. A także oczami, rzecz jasna.

Jeden z gapiów, wyraźnie zainteresowany kupnem czegokolwiek przykuł uwagę Gizdiana. Był to wysoki mężczyzna o długich włosach koloru mokrej słomy, może nieco ciemniejszych. Wyróżniał się z tłumu. Miał na sobie szarą, do połowy rozpiętą koszulę, ciemnobrązowe, skórzane spodnie i wysokie buty z podobnego materiału. Miecz nosił na plecach. Ten właśnie element tak zaciekawiał ciemnowłosego najemnika. Przyjrzał mu się dokładnie. Był to miecz półtoraręczny, wykuty w „szlachetnej”, jak zwykle nazywać się ją na zachodzie, stali, stop ten bowiem odbijał promienie słoneczne delikatnym błękitem. I nie był to jedyny detal, którym upiększyli go kowalscy mistrzowie. Rękojeść zdobił odlany w srebrze łeb jelenia z porożem oplatającym jelec.

Mistrzowska robota, pomyślał Gizdian, nie mogąc oderwać wzroku od przepięknego półtoraku.

– Witaj, Gizdianie – rzekł nagle ktoś za jego plecami.

Najemnik, wytrącony z myśli, nerwowo odwrócił głowę. Pozdrowił go Mitrin, syn Mitriana, wnuk Mitriana Wielkiego, króla Mitrii. Odziewał go purpurowy kontusz z wyszytym na piersi złotym gryfem. Ciemne, zaczesane za ucho włosy opadały mu prawie do ramion, lewą brew zaś miał delikatnie uniesioną. Wyglądał na niemal równego wiekiem Gizdianowi, jednak w rzeczywistości kończył dopiero osiemnasty rok życia.

– Witaj, książę – odrzekł Gizdian z nerwowym wyrazem twarzy. – Co cię do mnie sprowadza? Znowu zalegam z czynszem?

– Niestety. – Mitrin delikatnie się uśmiechnął. – Masz rację. Ojciec trochę się denerwuje...

– Powiedz mu, że nie stać mnie teraz na opłacenie pokoju – wtrącił niegrzecznie najemnik. – Jak znajdzie mi jakieś konkretne zadanie i odpowiednio za nie zapłaci, będę w stanie oddać część, która mu się należy. Pomijając, że strasznie ze mnie zdzięra za zalane wódką łóżko i klejącą się, pewnie również od gorzały, szafkę.

– Którą, nawiasem mówiąc, sam zalałeś – odrzekł Mitrin bez przekonania, wlepiając wzrok w zanieczyszczoną ptasimi odchodami kamienną barierkę.

Z jego twarzy nie zniknął serdeczny uśmiech. Lubił Gizdiana. Kilukrotnie pomógł mu nawet wyjść z tarapatów, gdy ten podpadł któremuś z dowódców królewskiej gwardii.

– A wszystko cuchnie zasranym kozim serem, którym częstuje mnie ta stara baba z waszego rozkazu – oburzał się coraz bardziej najemnik. – Fetor ma tak przeokropny, że nozdrza rozrywa, gdy tylko ten babsztyl wchodzi z nim po schodach!

– Mniejsza o to – przerwał mu książę. – Nie przyszedłem tu z powodu czynszu.

– Więc? – zapytał najemnik, uspokajając emocje.

– Zostałeś wezwany na jutrzejsze zebranie Rady.

– Co? – W głosie Gizdiana zabrzmiało wyraźne niedowierzenie. – W jakim celu?

– Nie wiem. Miałem ci to... po prostu przekazać.

– Eh, dobrze. Zjawię się.

Najemnik opuścił głowę i wlepił wzrok w balkonową posadzkę. Patrzący na jego profil Mitrin nie mógł dostrzec twarzy. Całkowicie zakrywały ją długie włosy.

Czego chcą te dziady? Czyżby ktoś widział moją wieczorną zabawę? Ta myśl niepokoiła ciemnowłosego najemnika, który wprawdzie nieraz pracował dla Rady, lecz równie często jej podpadał.

– No nic – rzekł Mitrin po chwili milczenia. – Czas na mnie. Do zobaczenia i miłego dnia.

– Żegnaj, chłopcze.

Gdy Gizdian znów spojrział w dół z pałacowego balkonu, w oczy rzucił mu się tylko miedzianobrody krasnolud sprzedający oręż. Zniknął mężczyzna z mieczem na plecach, zniknęli garbaci żebracy i wścibskie gnomy. Cały jarmark nagle opustoszał. Pozostali tylko kramarze z ich straganami, zupełnie jakby nie tylko jego wezwano na zebranie Rady.



Poniedziałkowy wieczór był ulubioną porą Gizdiana. Handlarze po porannych targach, zazwyczaj zalani, leżeli w karczmach, gdzie przepuszczali cały zarobek. Również na ulicach rzadko zdarzało się spotkać kogokolwiek, gdyż wszyscy zmęczeni porannym gwarem jeśli nie poszli za przykładem kupców, to w spokoju odspiali we własnych łóżkach. Dlatego właśnie w ten, a nie inny czas Gizdian urządzał sobie przechadzki po mitriańskich ulicach. A była to jedyna forma marnowania przez niego czasu, gdyż całą resztę spędzał na doskonaleniu sztuki rzucania sztyletem lub, co ostatnio zdarzało się rzadko, wypełnianiu zlecenia.

Przechodził obecnie po raz kolejny Magiczną Promenadą,

jak zwykł nazywać ją lud Mitrii. Straszyl gołebie wydziobujace okruczy spomiedzy brukowych kostek, a nienazarte ptaki miast uciekac, odskakiwaly tylko o kilka stapniec swych pokracznych stopiek, po czym wracaly, by dokończyć posiłek. Gizdianowi nie raz zdarzyło się takiego łakomczucha kopnać.

Historia promenady, jak większość, których słyszał, nudziła go. Opowieści głoszone przez starców mówiły o niezwykłym pojedynku dwóch magów. Żaden nie miał jasno określonego celu, dla którego ów pojedynek prowadził. Gizdian nigdy nie miał tyle cierpliwości by wysłuchać tę opowieść do końca. Nie znał imion, przebiegu, a nawet zwycięscy starcia, wiedział jednak, że dla upamiętnienia tego zdarzenia to właśnie w tym miejscu raz do roku, trzysta pięćdziesiątego dnia roku, spotykali się czarodzieje z całego Nortendaru. W jakim celu – to też nie interesowało ciemnowłosego najemnika.

Tego dnia nikt się tu nie miał spotkać. Prawie nikt. Pod jednym z niewielu drzew, na śmiesznie wyglądającej, małej ławeczce siedziało dwoje młodych ludzi. Dziewczyna o pięknych jasnych włosach, powiewających na delikatnym wietrze, i chłopak odziany w gryzący oczy purpurowy kontusz. Rozmawiali ze sobą.

Najemnik z braku ciekawszych zajęć postanowił podejść kawalek bliżej. Po cichu, by nie dać się zauważyć, zbliżył się na odległość, z której dobrze mógł słyszeć każde słowo pary. Dopiero wówczas stwierdził, że chłopak jest jedynym rozmówcą, a dziewczyna, jakby od niechcienia, tylko przytakuje mu lub przeczy. Panował między nimi wyraźny dystans, a młodzieniec nieskutecznie starał się zabawić jasnowłosą pięknosć. W pewnym momencie ucichli oboje. Chłopak wstał, stanął naprzeciw dziewczyny, spojrzal jej w oczy, po czym chwycił ją za rękę. Szepnął coś, czego Gizdian nie mógł usłyszeć, a promenadę znów wypełniła cisza.

– Uleine... – usłyszał najemnik, gdy był znudzony na tyle długim milczeniem, że miał już zamiar odejść.

– Żegnaj, Mitrin – przerwała młodemu księciu dziewczyna i puściła jego rękę.

Bezdzwięcznie wstała i ze smutkiem na twarzy zdecydowała się odejść. Szła bardzo wolnym krokiem, jakby miała nadzieję, że księżę zatrzyma ją jeszcze, nie da jej odejść tak po prostu. Jej włosy pięknie falowały na wietrze.

Księżę patrzył za odchodzącą dziewczyną, nie mogąc się ruszyć. Zabrakło mu odwagi, jak za każdym razem, gdy powinien ją zatrzymać. Westchnął głośno, gdy stracił Uleine z oczu. Ze smutną twarzą opadł na ławeczkę pod smukłą brzozą, na której jeszcze chwilę wcześniej oboje siedzieli.

– Nie masz szczęścia, księżę. – Gizdian wyszedł z ukrycia.

– Daj spokój – odrzekł smutno Mitrin, po czym westchnął jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio.

Kolejny już raz zapadła cisza, nieprzerywana niczym ze względu na poniedziałkową porę wieczorną. Nawet gołębie, nie wiedząc czemu, zniknęły z brukowanych chodników Magicznej Promenady.

– Nie łam się – spróbował pocieszyć księcia Gizdian, nie mogąc dłużej znieść milczenia. – Wcale nie była tak cudowna...

– Mylisz się – odparł Mitrin głosem jeszcze smutniejszym, po czym wstał i nie odwracając się więcej, zniknął za rogiem mitriańskiej uliczki.

Najemnik długą chwilę siedział sam i spoglądał na powolnie opadające gołębie piórko. Schylił się i podniósł je z ziemi. Gładził je palcem, patrząc niewidzącym wzrokiem. Zapomniał o pięknej Uleine, o Mitrinie i całej sytuacji, której dopiero co był świadkiem. Przypomniały mu się orle pazury na jelcach mieczy. Wrócił obraz krwi. Obraz Czarnych Rycerzy. I obietnica śmierci.

Wstał, po czym schował piórko do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Na jego twarzy znów pojawił się brzydki uśmieszek, wykrzywiający mu prawy kącik ust. W jego kompanii odszedł spod smukłej brzoźki i ruszył krętą, mitriańską uliczką, prowadzącą w stronę królewskiego pałacu.

Zatrzymał go cichy płacz. Gwałtownie odwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził. Przypatrując się kobiecie siedzącej

na chodniku i chowającej twarz w dłoniach, zaczesał palcami włosy na tył głowy. To płakała Uleine. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego.



„Dwieście siedemdziesiąty dzień roku tysięcznego czwartej ery, wtorek”, zanotował Dened-sar, kronikarz Rady. Data zapisana niestarannym piśmem zaczynała pięćsetną stronę poźółkłej już kroniki, prowadzonej od dziesiątek lat przez wielu królewskich sekretarzy. Dened-sar był siedemnastym. Spisywanie księgi, w której znaleźć miało się każde wypowiedziane przez radnych zdanie, nie należało do łatwych ani przyjemnych zadań. Mimo to Dened-sar rzetelnie wykonywał je wykonywał, nigdy bowiem nie zdarzyło mu się pominąć żadnej z wypowiedzianych podczas zebrania sentencji. Nie zwykł również narzekać.

„Witam zgromadzonych” – zapisał sekretarz słowa Mitriana, po czym pociągnął nosem.

– Niestety nie wszyscy, jak widzę, zjawili się na czas.

Radni rozejrzeli się wokół. Według ich rachunków nikogo nie brakowało, wszystkie miejsca były bowiem zajęte.

– Przejdę od razu do rzeczy – wznowił książę, widząc zadziwione twarze. – I nie będę ukrywał, że nie mam zamiaru zajmować się dziś sprawami mniej istotnymi. Ostatnio obiecałem wam, czcigodni, że przedstawię plan, który ma ostatecznie rozwiązać sprawę Czarnowronu. Zarzucaliście mi, że źle robię, posyłając tam Ardamira. Zarzucaliście mi, że nie da sobie rady, że zostanie zdemaskowany. – Radni słuchali, a na niektórych twarzach można było dopatrzeć się triumfalnego wyrazu. – Faktycznie. Ardamir został zdemaskowany, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Mitrian oparł łokcie o blat stołu, składając dłonie i zasłaniając przy tym część własnej twarzy. Zamilkł. Co chwilę spoglądał na mosiężne drzwi, jakby oczekiwał, że ktoś zaraz przez nie wejdzie.

Rozległ się zachrypnięty kaszel sekretarza. Widać jesienna aura i poranny powiew chłodu podziały na niego wystarczająco mocno, by mógł zaznaczyć swą obecność w nieco inny sposób, niż tylko skrobiąc po papierze piórem. Zakasłał raz jeszcze, przetarł nos jedwabną chustą i zanurzył pióro w atramencie.

Mitrian wznowił przemówienie.

– Być może dzisiaj wyjdziecie stąd ze szczerą nienawiścią do mojej osoby. Być może popełniam błąd, którego skutki dosięgną nas głębiej, niż jestem w stanie sobie wyobrazić. Być może. Dlatego właśnie zaryzykuję. – Radni słuchali w skupieniu. Słów księcia nie zagłuszał już nawet denerwujący katar Dened-sara. – Powiedziałem, że nie wszyscy zjawili się na czas. Brakuje najważniejszej osoby. Bez niej nie możemy mówić o żadnej próbie walki z Czarnowronem.

– Może zechciałbyś zdradzić, kim jest ta osoba, sir – wtrącił radny Virnor, widząc, że księżę wciąż nerwowo spogląda na drzwi.

Mitrian uśmiechnął się. Zwrócił wzrok na twarz Virnora, wiedział, jak zmieni się jej wyraz, gdy tylko wyjawi mu imię kolejnego najemnika. Księżę wstał i powolnym krokiem zaczął okrążyć salę, dokładnie przyglądając się każdemu ze zgromadzonych. Purpurowa szata ciągnęła się za nim, odkurzając przy tym od dawna nieczyszczoną podłogę. Gdy wyznaczył się idealny okrąg czystości, księżę zatrzymał się i znów spojrzał Virnorowi w oczy.

– Gizdian – oznajmił z nieukrywanym zadowoleniem.

Twarz Virnora, jak zresztą zakładał, wyglądała w tym momencie podobnie do łupiny dojrzałego orzecha. Nie sposób było odnaleźć na niej gładkie miejsce, niepokryte zmarszczkami wywołanymi paskudnym wykrzywieniem ust i zmarszczeniem czoła. Nie był jednak jedyny. Zdziwienie pojawiło się niemal na wszystkich twarzach. Tylko sekretarz miał patrzeć w stronę księcia, ukrywał twarz w dłoniach, znów kaszląc w nie okrutnie głośno.

– Nie wierzę – rzekł Virnor, gdy zdołał otrząsnąć się z roztrzęsienia. – Chcesz po raz kolejny wysłać tam najemnika, sir? Toż to czysta głupota!

Spis treści

Zarys polityki Nortenardu	7
ROZDZIAŁ I	
Problemy. Każdy ma własne	11
ROZDZIAŁ II	
Kilka tygodni wcześniej	63
ROZDZIAŁ III	
Bogów w to nie mieszaj	105
ROZDZIAŁ IV	
Z deszczu pod rynnę	165
ROZDZIAŁ V	
Uroki jarmarku	213
ROZDZIAŁ VI	
Babcine bajeczki	299
ROZDZIAŁ VII	
Przyjacielska pomoc	351
ROZDZIAŁ VIII	
Nowi znajomi – nowe rozrywki, starzy znajomi – stare zmartwienia	385
ROZDZIAŁ IX	
Zima nabiera rumieńców	431